ROK 2
•
NUMER 2
•
LUTY 1947

DROGA

ORGAN RUCHU METODYSTYCZNEGO

Motto: „ŚCIEŻKA SPRAWIEDLIWYCH JEST PROSTA...“ Izajasz 26

RICHARD T. BAKER

GUERRILLA LADY

Z języka angielskiego przełożył WITOLD BENEDYKTOWICZ

Kiedy przyszedłem tam, był też inny reporter u niej. Mówił, że pisze książkę o bohaterach oporu. Mąż pani Perez był jednym z nich. Dziennikarz przerzucał stosy świstków i fotografii, wybierając epizody z życia tego człowieka, który swą walkę o wolność Filipin przeciw Japończykom przypłacił w końcu życiem. Pani Perez, ubrana w charakterystyczną filipińską suknię, siedząc przy swym biurku w rządowym biurze opieki społecznej, opowiadała nam historię cierpień jej rodziny podczas okupacji japońskiej. To opowiadanie, proste i naturalne, o mężu i żonie oraz ich trojgu dzieciach, porwanych wirem wojny i ucisku, walczących o wyzwolenie, było dla nas wstrząsające. „To było niczym, skoro zdołaliśmy to uczynić". — powiedziała. — „Uczyliśmy się i ćwiczyli wierzyć w wolność. Japończycy przynieśli nam ból, cierpienie i upokorzenie. Walczyliśmy z tym w każdy możliwy sposób i zawsze, kiedyśmy mogli. To nie było bohaterstwo, lecz po prostu obowiązek".

Ośm lat temu byłem w tym samym urzędzie, w tym samym pokoju i rozmawiałem z tą samą osobą, siedzącą jak dziś przy swym biurku. Pani Perez była wówczas sekretarzem instytucji charytatywnych Manili. Napisałem wtedy artykuł o niej, Była ona przewodniczką niewiast metodystycznych i jedną z najbardziej aktywnych kobiet Filipin, znaną wszystkim ubogim w stolicy. Nienawidziła nie-

sprawiedliwości, płakała z cierpiącymi, ubierała nagich, karmiła głodnych, pocieszała smutnych. Dziś — pani Perez jest znów na swym posterunku. Wygląda starzej. Twarz w zmarszczkach. W ciągu minionych ośmiu lat przecierpiała wiele, lecz znów człowiek cierpiący jest przedmiotem jej troski i pracy.

Wasze gardło ścisnęłoby się, gdybyście słyszeli jej opowiadania. O kalece, który prosił o protezę nogi; był ranny przy zdobywaniu stolicy. O nieszczęśliwej matce, której dziecko umarło na piersi. O wdowach i sierotach. O chłopcach, którzy wierzyli w wolność tak fanatycznie, że pokaleczyli swe usta od policzka do policzka, kiedy Japończycy kazali złorzeczyć im na swych rodaków powstańców. „Widziałam ich — mówi p. Perez, — z mej celi więziennej w forcie Santiago. Prowadzono ich dwunastu, skrępowanych z sobą. Byli pobici, pokrwawieni. Nie żołnierze — chłopcy. Znali wolność, wierzyli w nią, cierpieli i zginęli za nią". Zamilkła na moment, poruszając nerwowo chusteczką. „Znieśliśmy wiele cierpień, — podjęła dalej opowiadanie — lecz teraz jesteśmy wolni. Pomoc powojenna jednakże nie nadchodzi. Amerykanie wiodą spory o plany odbudowy Filipin. Minął rok, a my nie widzimy przyszłości. Cierpienie trwa. Nie mogę uwierzyć, aby to był sposób, w jaki naród amerykański chce nas potraktować. Byliście naszymi nauczycielami wolności i demokracji. Jesteśmy dobrymi Amerykanami. Prowadziliśmy słuszną walkę. Dlaczego zaniedbywacie nas obecnie?"

Wszystko, co mówi pani Perez, jest słuszne. Nie było bardziej lojalnych Amerykan niż ona. I nieliczni doznali przemocy bardziej bezpośrednio i bardziej boleśnie.

W roku 1941 prezydent Quezon mianował panią Perez dyrektorem Urzędu Opieki Społecznej. Była ona wówczas wybitną działaczką społeczną. Nadawała się doskonale na ten urząd. Ale była jedna przeszkoda: była metodystką w tym przeważnie katolickim kraju. Prezydent Quezon mianował ją jednak pomimo to. Absolutnie nieustraszona poświęciła się pani Perez dla swych ludzi i rozpoczęła swą pracę — rzetelna chrześcijanka — pielęgnując współczucie na drogach wolności i demokracji. Lecz to nie trwało długo. Pod koniec roku w kraju byli już Japończycy i rozpoczęli reorganizację wszystkiego na swój sposób. Kobieta naczelnikiem rządowego biura? Ich skośne brwi obniżyły się: tu musiała nastąpić zmiana. Przeniesiono ją więc na niższe stanowisko. Pani Perez nie czekała na dalsze przeszeregowania. Opuściła biuro. Jej mąż Cirilo B. Perez, archiwista, też zrezygnował z posady. Powrócili więc w zacisze swego domu na przedmieściu Manili i poczęli wieść spokojne życie. Pani Perez zwolniona z posady nie pozostała bez pracy. Społeczna działaczka, anioł współczucia, buntownik przeciw tyranii,

odnajdywała łatwo biednych, bezdomnych i pokrzywdzonych. Pomagała wszystkim.

Po pewnym czasie, w kwietniu i maju 1942 roku, kiedy nadeszły straszne dni ostatniego oporu Batanu i Corregidoru, pomiędzy osobami przychodzącymi do drzwi pani Perez, poczęli przeważać młodzi mężczyźni głodni i chorzy. „Kim są ci ludzie, którzy wciąż panią odwiedzają?" — tak spytał panią Perez pewnego dnia jej gość. Czyż mogła mu zaufać i odpowiedzieć szczerze? Czekała przez moment wreszcie odpowiedziała: „Zapewne się pan domyśla" — i uśmiechając się spokojnie mówiła dalej: — „To są żołnierze pańskiej ojczyzny, którzy uciekli, aby nie poddać się, którzy przekradli się z Batanu przez linie wojsk japońskich i chronią się w górach, aby dalej żyć i walczyć". — „I pani pomaga im?" — pytał rozmówca dalej. — „Pomagam" — odparła pani Perez przez zaciśnięte wargi — „i będę nadal uważała za stosowne wspomagać ich, dopóki wróg nie zostanie pokonany".

Gość potrząsnął głową: „Pani jest doprawdy dzielna!" — powiedział. — „Nonsens!" — wybuchnęła. — „Ja nic nie robię!" — On ostrzegał ją, radził nie angażować się za daleko w ruch oporu: „Pani, jako wybitna kobieta, jest zapewne śledzona. Powinna pani być bardziej ostrożna wobec krewnych i przyjaciół". — „Proszę być spokojnym" — odpowiedziała. — „Jestem ostrożna, lecz jestem również obywatelką Filipin, patriotką. I jestem chrześcijanką. Ludzie, którzy cierpią, potrzebują mię. Zawsze taka byłam i nie zmienię się teraz".

Przez całe lato 1942 r. dom rodziny Perez na peryferiach Manili był schronieniem dla guerrillów *). Wędrowali oni pomiędzy domem i górami, w których formowały się oddziały partyzanckie.

W sierpniu przyszła do pani Perez, Jay Panlelio, kierowniczka akcji kobiet w szeregach guerrillów i powiedziała, że została „wsypana". Poprzednio była zatrudniona jako radiotelegrafistka u Japończyków, lecz potajemnie pracowała dla generała brygady Carlosa P. Romulo, który przebywał poza krajem i z którym porozumiewała się za pomocą szyfru. Teraz Japończycy odkryli wszystko. Musiała opuścić miasto i pragnęła powierzyć swe sprawy pani Perez, a także pomoc w kontaktowaniu miasta z małymi żołnierzami z gór, zbiórkę pieniędzy, przesyłkę lekarstw i żywności, nawiązywanie łączności, przenoszenie wiadomości.

---

*) Hiszpańska nazwa powstańców, zastosowana do oddziałów powstańczych Hiszpanów, walczących z Napoleonem I. w roku 1808, przyjęta przez partyzantów na Filipinach podczas ostatniej wojny.

Perezowie byli w szeregach. Pan Perez otrzymał stopień pułkownika w patriotycznej armii Filipin, pani Perez stopień podpułkownika. Syn Ernest był porucznikiem. Pani Perez zbierała fundusze wśród przyjaciół i znajomych, wysoko postawionych w obecnym porządku, wędrowała po mieście z tajnymi rozkazami w torebce dla patriotów w Manili z głównej kwatery guerrillów w górach. „Przeprawiałam się tam — i zgaduję, że to przestraszało mych przyjaciół śmiertelnie".

Generał Roxas, nowy prezydent Filipin, był jednym z tych ludzi, któremu doręczała wiadomości od guerrillów. W pewnym wypadku otrzymała rozkaz uzbierania 2 tys. pesetów i doręczenia ich niejakiemu Aquino, następnego dnia. „Spotkam się jutro z panem — powiedziała mu — na zebraniu towarzyskim w domu X... Będziemy się przechadzać jak przygodni znajomi, którzy przed chwilą zapoznali się z sobą". Udało się. Lecz w godzinę później Aquino był w rękach Japończyków. Pani Perez dowiedziała się o aresztowaniu i była pewna, że tym razem przepadło. Pieniądze zostaną znalezione i zdradzą ją. Czas mijał. Nic się nie szczęściło. Siedm miesięcy później zwolniono Aquino. Był umęczony, złamany i storturowany. — „Proszę się nie matrwić — powiedział do pani Perez. — Nie powiedziałem nic i pieniądze są tam, gdzie były przeznaczone, a pokwitowanie i rozkazy bezpieczne. Dałem je mej żonie, na moment przed aresztowaniem mnie przez Japończyków".

Kiedy indziej przyszedł z gór łącznik z nazwiskiem pani Perez, ukrytym w futerale na okulary. Spotkał się z nią na skraju miasta, lecz później został ujęty w swym domu, zaledwie przyszedł. W więzieniu był pełen desperackich myśli co do okularów i nazwiska ukrytego w futerale. Jeżeli Japończycy znaleźli to i zrobili rewizję w domu pani Perez, to pewno koniec wszystkiemu. Począł więc udawać, że jest ślepy. „Gdybym tylko odzyskał okulary" — powiedział — „jestem bezradny bez nich". Japończyk umiał to ocenić i doręczył mu okulary. Łącznik otworzył futerał i znalazł nienaruszony cenny skrawek papieru.

Pewnego dnia partyzanci dali znać o akcji grożącej Perezom i odkomenderowali ich z Manili na sześć miesięcy. Cała rodzina spędziła na prowincji pół roku. Po powrocie ruszyła jeszcze gorliwsza praca dla armii patriotów.

Wtem, 3 lutego 1944 r. o godz. 4-tej nad ranem, uderza cios. Żandarmi z fortu Santiago, owej komory śmierci pośród więzień japońskich na Filipinach, przychodzą do domu Perezów. Wyłamują drzwi. „Gdzie jest wasz syn?" — pytają. — „Nie ma go tu" — pada odpowiedź. — „Potrzebujemy go". — Żandarmi wchodzą do środka. „Nie ma go tu".

Pani Perez opowiada dziś ten epizod z prawdziwą wdzięcznością dla Opatrzności. „Dzieci prawie nigdy nie wydalały się z domu, lecz w tym jedynym wypadku poszły wszystkie na wieś, do rodziców męża. Dzięki temu ocalały. Krótkofalówka Ernesta była ukryta, a jego maszyny drukarskie schowane pod podłogą w garażu. Przed kilkoma dniami — mój mąż zakopał w zapieczętowanych butelkach wszystkie dokumenty, pokwitowania i kompromitującą ewidencję w ogrodzie".

O godzinie 5-tej po południu tego samego dnia pani Perez poszła w ślad za swym mężem do więzienia w forcie Santiago. W celi, w której ją zamknięto, było 10 osób. Wśród uwięzionych były trzy amerykańskie misjonarki, jedna belgijska i jedna francuska zakonnica i sześć kobiet miejscowych.

„Czy ktoś może wie gdzie jest mój mąż?" — to było pierwsze pytanie pani Perez. — „Nie wolno się o to pytać" — ostrzegły ją towarzyszki, — „lecz on jest w celi nr. 16, w głębi korytarza". — Następnego ranka, w drodze na dół, do hali, pani Perez zatrzymała się przy celi 16 i szepnęła przez drzwi: „Papa! Papa!" — Usłyszała długie westchnienie. — „Ach, jesteś tu" — odezwał się głos. — „Tak, lecz nie martw się" — powiedziała. „A Ernest?" — pytał głos. „Nie jeszcze. Ja czuwam".

Nadeszły długie dnie i noce oczekiwania i czuwania. Więźniarki posiniaczone, torturowane, wracały do swej celi. Nikt nie mówił słowa, ponieważ we wszystkich celach byli donosiciele. Pani Perez mogła przygodnie tylko w czasie przechadzki zobaczyć swego męża, lecz nie można było rozmawiać. Rozpoczęły się badania. Perezowie byli odprowadzani razem na przesłuchania. Konfrontowano ich z ludźmi z gór, z którymi utrzymywali kontakt. „Byli dosłownie sini i czarni od bicia. Znaliśmy ich dobrze. Nie zdradziliśmy się niczym. Oni również nie wydali ani jednego szczegółu". Przesłuchania stały się teraz szczególnie częste dla pana Perez oddzielnie. Pogrążał się w smutku i począł tracić nadzieję. Jednego dnia zapytał dozorcę: „Czy mogę iść do celi i uścisnąć moją żonę?" Pozwolono mu na to. „To była nasza ostatnia rozmowa. Mówiliśmy o różnych drobiazgach, o dzieciach, o wierze i nadziei. On powrócił do swej celi — ja do mojej".

16 maja 1944 r. o ósmej rano, pan Perez został wyprowadzony z 14 innymi współwięźniami na korytarz. Żona pożegnała go skinieniem. Trzy amerykańskie misjonarki zostały również zabrane. Wszyscy poszli do więzienia Bilibid, a w połowie września 1944 r. zostali przewiezieni na chiński cmentarz na północ od miasta; tam kazano uklęknąć im nad wykopanym dołem. Kaci ścięli ich głowy — ciała spadły wprost w wykopany grób.

Pani Perez została zwolniona z więzienia przed tym, jeszcze w miesiącu maju. Przed opuszczeniem więzienia więźniowie zgromadzili się w hali, gdzie oficer japoński pouczał ich o ideałach „nowego porządku" i przynaglał do porzucenia „zwodniczych dróg" wszelkiej łączności z partyzantami i współpracy z Republiką. Po tym dopiero zostali zwolnieni.

Pani Perez wróciła do swego domu do córki i młodszego syna. Nie wychodziła nigdzie, jedynie do kościoła i na targ. Raz czy dwa próbowała odszukać ślad męża, lecz przekupienie strażników było zbyt kosztowne. Posyłała żywność, lecz bez pewności, czy cokolwiek dojdzie do niego.

W czerwcu jakiś młody człowiek wszedł do domu pod osłoną nocy i padł w jej ramiona. „Musisz odejść" — powiedziała. To był Ernest. Opowiadał o swych przygodach. Przebywał w Batangas, udając wiejskiego chłopaka; mieszkał na przeciw japońskiego garnizonu. Przez pochlebstwa zbliżał się do żołnierzy, aby nauczyć się japońskiego języka. „Jak dostałeś się tutaj?" — zapytała. — „Przyjechałem ich wozem". — Ernest nigdy nie sprzeciwiał się matce. Pocałował ją teraz w głowę i ukrył się w swym pokoju. Pozostał. Kiedy chciał grać na ulubionym fortepianie matka musiała wołać do domu siostrę, aby sąsiedzi nie domyślili się, że to Ernest gra.

16 października 1944 r. dzień po przybyciu Amerykan do Leyte, Japończycy skonfiskowali dom Perezów. Nie pozostawało nic innego uczynić, jak wywędrować na wieś i czekać. Perezowie udali się więc do Bulacan, na północ od Manili, do rodzinnej miejscowości pana Perez. Zamieszkali tam... w kurniku. Ernest tymczasem biegał po okolicy jako bosy wieśniak, zbierając pogłoski o postępach wojsk amerykańskich. 3 lutego 1945 r. rozeszły się w Bulacan wiadomości, że Japończycy w popłochu uciekają. Perezowie byli w tym dniu na polach ryżowych. Wieczorem, w powrotnej drodze, pani Perez zatrzymała się z swym wózkiem. Jej żywe oczy skupiły się w jednym punkcie drogi, oddalonym o pół kilometra. — „Popatrz Erneście, kto to?" — powiedziała. Ernest pobiegł, poruszając szybko bosymi stopami. Ujrzał wyciągnięte szeregi, mundury khaki, wszystko wysocy mężczyźni. Pobiegł z powrotem, a radość była wypisana wielkimi literami na jego twarzy. W rękach miał niezaprzeczalnie amerykańskie cukierki i papierosy. „Czołówki osiągnęły szosę do Manili" — mówił z radością. — „Amerykanie chcą szybko zdobyć S. Thomas".

„Trudno powiedzieć jakie to było cudowne" — powiedziała pani Perez. — „Wzięłam najcenniejszą rzecz, jaką mogłam znaleźć w domu — koszyk pełen jaj i poszłam na spotkanie waszych chłopców. Cała wioska szalała z radości. Japończycy uciekli natychmiast

i miejscowość w ciągu godziny była zabezpieczona. Paradowaliśmy po ulicach. Rozdawaliśmy żywność. Radość... tak, żadne słowa jej nie opiszą". — Jej głos zadrżał nieznacznie...

Z końcem lutego pani Perez wróciła do Manili. 25 kwietnia 1945 r. rozpoczęła na nowo pracę, jako przełożona nadzwyczajnego urzędu pomocy. Nie było zmiany w jej charakterze. Wróciła do ukochanej pracy społecznej.

Obecnie spędza długie godziny przy biurku. Jej starszy syn i córka udali się do Ameryki do szkół. Jest samotna, i to jest uciążliwe. Przyszłość Filipin jest osłonięta niepewnością. Dokoła ruiny Manili. Terytorium spustoszone przez wroga i oderwane przez wojnę od Ameryki. Nie ma pieniędzy na odbudowę, brak zasobów...

„Jeśli Ameryka nam nie pomoże, przyszłość nie będzie dla nas pomyślna". Pani Perez popatrzyła na mnie intencjonalnie. — „Ludzie cierpieli. Są przeważnie złamani. Pewnego dnia, w więzieniu, jeden szorstki Japończyk powiedział chełpliwie do mnie: waszą niedolą jest to, że wierzycie w demokrację. Czy myślicie, że Amerykanie powrócą? Ani za sto lat! — Poszłam do mej celi, lecz nie straciłam wiary. Poznałam, co to znaczy trwożyć się o prawdziwe ideały. Co znaczy trwać dla waszych przekonań. Czy krzywdzę? Ameryka nauczyła mię wszystkich tych ideałów. W czasie wojny otrzymaliśmy wiele waszych obietnic. Wszystkie te obietnice, przemówienia, które słyszeliśmy, były dla nas jak krople wody dla spieczonych warg. — „Bądźcie dzielni" — mówiliście nam, — „bądźcie odważni. My zapłacimy wszystko!" — Teraz, kiedy odrobina pomocy spadła nam, a Ameryka robi to tak skąpo dla nas, zastanawiam się niekiedy, czy to wszystko nie było tylko propagandą. Czy Ameryka nie wierzy w demokrację i swobodę, których nas nauczyła? Walczyliśmy. Chłopcy i mężczyźni, dziewczęta i kobiety ocalili krew chłopców amerykańskich. Kiedyście powrócili do naszych osiedli, całowaliśmy wasze stopy i ramiona, dawaliśmy wam to, cośmy mieli. A dziś Ameryka stała się cyniczna, kalkulująca. Nie wierzę, że cały naród, lecz byznesmeni, którzy chcą naszych rynków i naszych zasobów, lecz nie chcą nas traktować jako części Ameryki".

Umilkła i popatrzyła na mnie. „Proszę mi wybaczyć" — powiedziała. — „Nie często mówię w ten sposób. Powinnam odejść do obowiązków. Jednej rzeczy nauczyłam się przez kilka lat: wierzyć. Mam wiarę. I myślę, że pan też ma jej wiele".

Niniejszy artykuł, którego autorem jest dr Richard T. Baker, ukazał się w październikowym zeszycie metodystycznego miesięcznika „WORLD OUTLOOK" (Redakcja).

ORINA KIDD GARBER



Mrs. O. K. Garber jest małżonką naszego Biskupa Pawła Garber'a. Mrs. Garber w wywiadzie z pewną amerykańską dziennikarką dała wyraz swej trosce o los swych współbraci i sióstr w Polsce i ogłosiła odezwę, wzywającą amerykańskich metodystów do wzmożonej akcji charytatywnej dla Polski. Odezwa wzywa rodziny metodystyczne w USA. do „adoptowania" polskich dzieci, t. zn. do roztoczenia nad pojedynczymi dziećmi długotrwałej, planowej opieki. Odezwa ta ukazała się w amerykańskiej prasie metodystycznej. Apel Mrs. Garber wywołał pożądane echo. Z USA nadchodzą do Polski listy od różnych osób i rodzin, które pragną pomagać metodystom polskim. Są zaproszenia dla naszej młodzieży do Ameryki na studia. Za chrześcijańską troskę i pamięć o nas składamy Mrs. Garber tą drogą wyrazy gorącej wdzięczności i czci.

KONIEC ŚWIATA

(według „Colloquia Familiaria" i „Pochwały Głupstwa" ERAZMA Z ROTTERDAMU. Opracowanie i przekład A. K.).

Tymoteusz: Jakąż to piękną książkę trzymasz pod pachą?

Euzebiusz: To Ewangelia.

T.: A skądżeś ty się teraz zrobił taki pobożny, że wszędzie chodzisz z Ewangelią?

E.: Jak to skąd? Czyż nic nie słyszałeś? Za kilka dni koniec świata!

T.: Któż ci to powiedział?

E.: Dwa dni temu spotkałem pewnego starca, który mi wyłożył jasno całą sprawę, jak na dłoni. Rozglądnij się tylko do około, a sam zobaczysz! Czy nic nie widzisz?

T.: Absolutnie nic. Chyba tyle, że się dwie przekupki kłócą przy straganie.

E.: O ślepy, po trzykroć ślepy! Czyż nie spostrzegasz, że ludzie czynią teraz wszystko to samo, co i przed potopem? Jedzą, piją, chodzą, załatwiają interesy, rodzą się, umierają, żenią, kłócą, wojują, oszukują...

T.: ...Mówią głupstwa, martwią się o to, czego nie zgubili, czekają na koniec świata — pardon, chciałem powiedzieć na potop! — Rzeczywiście, uderzające podobieństwo. Koniec świata na karku. Ale po co ci w tym wszystkim Ewangelia?

E.: Po to, żebym mógł łatwo poznać znaki i żeby mnie koniec świata nie zastał poza domem.

T.: Znowu nic nie rozumiem. A cóż ci to pomoże, jeśli będziesz siedział w domu!

E.: Widać, że jesteś heretykiem — bo gdybyś uczęszczał pobożnie do Kościoła, to byś wiedział, że do chrześcijańskiego domu żadną mocą diabeł nie wejdzie. Ja mam przy wejściu małą kropielniczkę z wodą święconą i w każdym pokoju po jednym obrazie Marii Panny i jeszcze po kilka obrazków rozmaitych świętych — no i oczywiście kilka gromnic...

T.: ...kilkadziesiąt różańców, całe pudło medalików, całą szafę książeczek do nabożeństwa. Teraz już wiem: cały świat może się zawalić, a ty sobie spokojnie wraz z całym domem i pierzynami pofruniesz do nieba... Ale, ale — jeśli już mówimy o domu — co tam słychać z twoją teściową?

E.: Nie wspominaj mi o tej jędzy. Nie ma dnia, żeby na mnie nie pyskowała! Tyle mam spokoju, co do kościoła pójdzie albo na plotki. Ale teraz już nie popuszczam. Ząb za ząb się z nią kłócę!

T.: Widzę, że pod wpływem Ewangelii stajesz się coraz lepszy. A jak tam dzieci?

E.: Chłopcy nic się nie chcą uczyć. Najstarszy nic, tylko do butelki ciągnie.

T.: Zdaje mi się, że to dziedziczne. Nie obraź się — ale powiem ci prawdę, co o tym wszystkim myślę. Jestem przecież twoim starym przyjacielem.

E.: Proszę bardzo — mów szczerze.

T.: Czcisz gorliwie Marię świętymi obrazami, świecami, odklepywaniem litanii i różańców — ale jeszcze gorliwiej obrażasz jej Syna swym życiem. Obawiasz się, że diabeł wejdzie do twego domu, jeśli przy dzwiach nie będzie kropielniczki z wodą święconą, a na ścianach tyle świętych obrazów, ile tylko się zmieści. Ale wśród tych wszystkich świętości nie boisz się kląć, pić, kłócić, nienawidzieć. W czasie burzy zapalasz gromnicę ze strachu przed piorunem — ale przy pogodzie w ogóle zapominasz, że Bóg istnieje.

E.: Mój kochany, sądzisz mnie bardzo surowo. Przecież nie jestem świętym.

T.: O, co do tego, to nie mam żadnych wątpliwości! Ale powiedz mi jeszcze jedno: czy wiesz co to jest hipokryta?

E.: Oczywiście. To taki, który co innego czyni, a co innego kryje w sercu.

T.: Zgodzisz się zapewne ze mną, że Ewangelia zawiera naukę, jak ma żyć chrześcijanin, by dostąpić zbawienia.

E.: Zupełna racja.

T.: Otóż — jak nazwałbyś człowieka, który nosi przy sobie Ewangelię, a wcale według niej nie postępuje?

E.: Hipo... Ale ty chyba nie myślisz o mnie!

T.: Ach, gdzieżbym śmiał. Ja mówię tylko tak ogólnie. Bo na każdym kroku spotykam ludzi, którzy chwalą się i szczycą, że są chrześcijanami, tak, jakby metryka chrztu była zarazem przepustką do nieba. Inni znów wciąż mówią o chrześcijaństwie i wciąż mają Chrystusa na ustach — ale tylko na ustach. A bardzo, bardzo niewielu jest takich, którzy noszą Ewangelię w sercu. Nikt zaś nie ma jej w sercu, kto jej nie kocha — a nikt jej nie kocha, kto według niej nie żyje.

E.: Słusznie mówisz. Powiedz mi wobec tego, skoro tak mądrze wykładasz, co robić z tym końcem świata?

T.: Mój drogi, Ewangelia nie jest rebusem ani łamigłówką, żeby z niej odgadywać, którego dnia i o której godzinie nastąpi koniec świata — lecz „jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu". Troskę o czas pozostaw Bogu. Ty staraj się tylko o to, byś każdej chwili mógł spokojnie stanąć przed Bogiem.

E.: Gdybym był młodszym, to bym wstąpił do jakiegoś zakonu. Tam już na pewno zrobiliby ze mnie dobrego chrześcijanina. Tylko znów kłopot — gdzie wstąpić: bo są i Franciszkanie i Dominikanie, Bernardyni, Benedyktyni, Augustianie...

T.: O tak. Jest ich dużo, ale obawiam się, że prawdziwych chrześcijan jest na świecie znacznie mniej, niż zakonników. Nie, mój drogi: nie nazwa zbawia — ale czyny i życie, godne wyznawcy Chrystusa. Czy myślisz, że gdy staniesz po prawdziwym końcu świata przed Chrystusem-Sędzią, to zapyta cię On, do jakiego zgromadzenia należałeś, jaki habit nosiłeś, jakie odprawiałeś ceremonie, ileś psalmów łacińskich odśpiewał, jakie miejsca święte zwiedziłeś? Nie! On zapyta cię tylko, czyś kochał Boga i bliźniego, czyś biednych wspomagał, pokrzywdzonych bronił, chorych nawiedzał — i czyś modlił się sercem szczerym. Bo te i tylko te są powinności chrześcijanina!

E.: Dziękuję ci za rady — ale skąd ty wiesz to wszystko? Bo mnie trochę inaczej w kościele uczą.

T:. To wszystko jest zawarte w tej właśnie książeczce, którą trzymasz w ręce: w Ewangelii. Otwórz ją i czytaj!...

Z życia Zborów...

KRAKÓW: w dniach od 8 do 15 grudnia 1946 r. odbyła się w tutejszym Zborze ewangelizacja. Kazania ewangelizacyjne wygłaszali zaproszeni goście, mianowicie: ks. Grycz-Śmiłowski, em. płk. W. P. organizator Polskiego Kościoła Unitariańskiego (Braci Polskich) oraz ks. Senior Edward Wende, proboszcz Polskiej parafii Ewangelickiej w Kaliszu. Tydzień ewangelizacyjny był obdarzony szczególnym błogosławieństwem Bożym i dla wielu osób był źródłem bogatych przeżyć i doświadczeń wewnętrznych. Ewangelizacja zakończyła się przyjęciem nowych członków i uroczystością Wieczerzy Pańskiej. Zborownicy z szczególną wdzięcznością i czcią pożegnali ks. Seniora Wendego, który udał się w powrotną drogę do Kalisza, skąd przybył na ewangelizację pomimo zimnej pory i niemałych trudności komunikacyjnych.

Święta Narodzenia Pańskiego w Zborze krakowskim były również źródłem podniosłych doznań religijnych i nowych przemyśleń problemów wiążących się z cudem betlejemskim. Drugi dzień Świąt był poświęcony dzieciom. W kaplicy ustawiono wspaniałą choinkę a dzieci ze Szkoły Niedzielnej wykonały deklamatorium,

osnute na wątkach biblijnych i poetyckich. Znalazły się i podarunki gwiazdkowe, które specjalnie powołany Komitet przygotował i rozdzielił pomiędzy dzieci Zborowników i obcych. Do uświetnienia gwiazdki przyczynił się znacznie dar w postaci sumy 5.000 zł przesłany przez Brata Superintendenta Konstantego Najdera. Nie był to jedyny wyraz pamięci Kochanego Zwierzchnika o Zborze krakowskim. W dzień sylwestrowy, uroczyste nabożeństwo wie-



Kraków. Uroczystość Wieczerzy Pańskiej.

czorne poprowadził on sam, po przyjeździe z Katowic. Nabożeństwo sylwestrowe zgromadziło liczną gromadę Zborowników i przyjaciół Zboru. Brat Superintendent Najder przemawiał na temat rachunku sumienia, temat spotęgowany tekstem wybranym z księgi Daniela, z rozdziału piątego. „Zważonyś na wadze a znalezionyś lekki" oto dla wielu aktualny sens słów napisanych przez tajemniczą rękę, słów: Mene, Tekel, Upharsin.

Dzień przed pamiętnym dniem sylwestrowym obradowała krakowska Konferencja Kwartalna, będąca poważnym czynnikiem utrwalającym zdobycze i osiągnięcia duchowe i rzeczowe Zboru. Nowy Rok Zbór krakowski powitał uroczystym nabożeństwem. Liczni Zborownicy przystąpili w tym dniu do Stołu Pańskiego. W pierwszym tygodniu Nowego Roku Zbór wziął udział w powszechnym tygodniu modlitwy, w porozumieniu ze Zborem Ewange-

lickim. Zebrania modlitewne przypadły na okres bardzo ostrych mrozów i jeśli idzie o frekwencję nie były okazałe lecz duchowo pozostawiły trwały rezonans wśród uczestników. Radosny okres powszechnej modlitwy został zmącony smutnym wypadkiem zgonu jednego z najczcigodniejszych i najgorliwszych członków Zboru, któremu poświęcamy w dzisiejszym zeszycie osobne wspomnienie. Kończąc ten reportaż, obejmujący niemal jeden miesiąc życia zborowego w Krakowie, oddajemy głos naszemu sąsiedniemu Zborowi —

W KATOWICACH: Zbór w Ochojcu (5 km od Katowic) urządził od 11 do 17 listopada 1946 r. tydzień ewangelizacyjny. Miejscem zgromadzeń była sala miejscowego kinoteatru. Przemawiał codziennie Brat Gustaw Burchard, pastor Zboru warszawskiego. Jego kazania stały się dla wielu ludzi wielkim błogosławieństwem. Na uroczystym nabożeństwie końcowym, które odbyło się w kaplicy Zboru katowickiego przyjęto nowych członków Kościoła w liczbie 25 osób. W czasie tygodnia ewangelizacyjnego frekwencja zainteresowanych osób była zadowalająca, pomimo gróźb i straszenia ludzi ze strony proboszcza katolickiego w Ochojcu. Groźby i postrach chybiły celu a stały się skuteczną i do tego bezpłatną agitacją na rzecz metodyzmu, za co tą drogą wielebnemu stróżowi jedynozbawczego Kościoła serdecznie dziękujemy. Ewangelizacja w Ochojcu przekonała ludzi, że nie wszystko co ksiądz proboszcz o „sekciarzach" mówił jest prawdą. Oprócz zdecydowanych członków Zbór pozyskał na skutek ewangelizacji licznych przyjaciół, którzy zainteresowali się nie tylko naszym Ruchem, lecz również Ewangelią Jezusa Chrystusa.

PRZYPISEK REDAKCJI: Czytelnicy zwrócą zapewne uwagę na wielkie opóźnienie, z jakim się znalazła ta korespondencja w naszym piśmie. Celem usprawiedliwienia wyjaśniam, że materiał redakcyjny „DROGI" przygotowuje się cztery tygodnie przed wyjściem numeru z druku i że z tej przyczyny pismo nie może przynosić najświeższych wiadomości i artykułów. W. B.).

PRZEMYŚL. W końcu listopada powrócił tu rev. Lucjan Zaperty, który przebywał dłuższy czas w szpitalu w Warszawie. Brat pastor Zaperty nadesłał do naszej redakcji dłuższą korespondencję, zatytułowaną „MROKI ŚREDNIOWIECZA", którą zamieszczamy poniżej w wyjątkach:

„Nie trzeba się cofać w odległe czasy papieża Inocentego III lub Torquemady, nie trzeba wędrować myślą do dalekiej Hiszpanii, aby napotkać ciemnotę, walczącą z postępem w dziedzinie religijnego myślenia i odczuwania. Można ją napotkać w naszym Kraju, gdziekolwiek garstka ludzi dobrej woli pragnie swe życie i stosunki

z otoczeniem ukształtować podług zasad Ewangelii i głosić Słowo Boże. Oto kilka faktów z kampanii Ciemnogrodu przeciwko Zborowi Metodystycznemu w Przemyślu:

Pewnego świątecznego dnia ubiegłego roku grupa wyrostków wybiła kamieniami ponad 30 szyb w oknach kaplicy poewangelickiej, sąsiadującej z kaplicą metodystów.

Na drzwiach mieszkania jednej członkini Zboru umieszczono kartkę, zawierającą groźbę pobicia za zachęcanie ludzi do zapoznania się z Ruchem metodystycznym. Pewnej zwolenniczce naszego Ruchu doręczono podobną kartkę z groźbą, że jeśli nie przestanie uczęszczać do kaplicy Metodystów, zostanie zastrzelona. Groźba kończyła się słowami: „proszę się miarkować, bo mamy Panią na oku; szkoda tak mądrej i uczonej głowy dla głupstw".

W końcu listopada ub. roku chłopcy z chóru katedralnego rzym. kat. w Przemyślu, po próbie swego zespołu, zaatakowali kamieniami kaplicę metodystyczną i poewangelicką. Znów posypały się stłuczone szyby. Następnego dnia przed południem ta sama grupa, ustawiona w pobliżu kaplicy Zboru usiłowała powstrzymywać i odstraszać ludzi, idących na nabożeństwo metodystyczne.

Gdzie jest źródło tej nienawiści? Skąd płyną najprzeróżniejsze oszczerstwa? Powszechnie wśród tutejszych katolików krąży wersja, że Metodyści mają zakopany pod progiem obraz Marii Panny, że kto przystępuje do Metodystów musi znieważać wizerunki Pana Jezusa i Jego Matki. Wymyślono nawet takie głupstwo, że pewna panienka, która przystąpiła do Metodystów, porodziła diabła, ponieważ ją Bóg skarał. — Kto te wiadomości rozpowszechnia? Komu zależy na zohydzeniu opinii lub ośmieszeniu ludzi, których pragnieniem jest poznać naukę Jezusa Chrystusa? Czy to nie wstyd i hańba dla duchownych katolickich, aby ich wyznawcy wierzyli i rozgłaszali takie głupstwa! Czyż w Przemyślu nie ma już w ogóle światłych księży? Pomimo tej ustawicznej, bezrozumnej walki i ataków przeciw naszemu Ruchowi ludzie szukają Prawdy i przychodzą coraz częściej i liczniej do pogardzanej i prześladowanej kaplicy. Nie odstraszają ich oszczerstwa i szyderstwa oraz groźby, ponieważ wiedzą, że: „nie jest sługa większy od Pana swego. Jeśli mię prześladowali i was prześladować będą..." (św. Jan 15, 20). „Błogosławieni jesteście gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamając dla mnie". (Mat. 5, 11). Nasi zborownicy modlą się o światło dla prześladowców i Bóg daje coraz więcej nowych słuchaczy, tak że kaplica pomieścić ich nie może. „O Panie spraw, aby mroki ciemnoty pierzchnęły przed światłem Ewangelii!"

Kolumna młodych

Brat Bolesław Stępniowski z Poznania rzucił inicjatywę stworzenia w naszym piśmie działu młodzieżowego, w którym członkowie metodystycznych stowarzyszeń młodzieży znanych również pod nazwą LIGI EPWORTH mogli by wypowiadać swe myśli i zamierzenia w formie artykułów, prób literackich etc. i informować ogół czytelników o osiągnięciach w pracy organizacyjnej. Witając radośnie tę inicjatywę, redakcja oddaje w bieżącej „Kolumnie" głos inicjatorowi.

BOLESŁAW STĘPNIOWSKI (Poznań)

„NASYĆŻE NAS Z PORANKU MIŁOSIERDZIEM TWOIM TAK, ABYŚMY WESOŁO ŚPIEWAĆ I RADOWAĆ SIĘ MOGLI PO PO WSZYSTKIE DNI NASZE". Psalm, 90, 14.

Do grupy najważniejszych zadań wychowania człowieka w duchu chrześcijańskim należy wychowanie młodzieży przez wskazanie jej kierunków i celów zgodnych z Ewangelią Chrystusową. Jest to bardzo ważne zagadnienie i przedmiot troski i zainteresowania ze strony naszego Kościoła. W pracy nad rozwiązaniem tego zagadnienia musi uczestniczyć również sama młodzież, — w naszych zatem rękach leżą losy naszej przyszłości. Jesteśmy spadkobiercami wielkiego dorobku ducha chrześcijańskiego — jesteśmy odpowiedzialni za przekazanie go następnym pokoleniom w stanie jeszcze większej wspaniałości i chwały Dziś wykuwamy przyszłość.

Jak nasza praca wygląda niech mówią te skromne karty „Kolumny młodych". Młodzież poznańska inicjując ten dział wzywa młodzież metodystyczną z całej Polski do nadsyłania sprawozdań i informacji o swej działalności misyjnej, organizacyjnej i towarzyskiej.

*

Pamiętam, jak w pewne popołudnie sierpniowe siostra misjonarka Browne będąca miłym gościem naszej kolonii letniej w Piwnicznej zadała nam pytanie tej mniej więcej treści: „Jak może młodzież pracować w naszym Kościele?" Wiem, że dyskusja nad tym nie została zakończona. Padały liczne odpowiedzi, przedstawiano rozmaite pomysły, przekraczające częstokroć nasze własne możliwości.

A jednak... Myśl, która przewijała się w tych rozważaniach, zrodziła czyn. Młodzież poznańska rozpoczęła swą działalność poza ramami samego Stowarzyszenia. Najpierw, na terenie Zboru, urządziliśmy imprezę deklamacyjno-wokalną dla starszych. Wieczór, w którym wystąpiliśmy z recytacjami wierszy i śpiewem chóralnym stał się naszym młodzieżowym świętem. Impreza wywołała szeroko rezonans, tak że zaproszono nasz zespół do powtórzenia programu poza Zborem w firmie „Traktor" na przedmieściu Poznania — w Starołęce. Zaproszenie przyjęliśmy chętnie i oto ukazały się na ulicach afisze, ogłaszające „Wieczór pieśni i deklamacji religijnych — w wy-

konaniu Stowarzyszenia Młodzieży Metodystycznej". Dochód z imprezy przeznaczyliśmy na „Gwiazdkę" dla sierot po rodzicach pomordowanych w obozach koncentracyjnych. W oznaczony dzień (było to w początku grudnia ub. roku) załadowaliśmy się na przysłany po nas samochód i ze śpiewem wyruszyliśmy w drogę. Gorące przyjęcie ze strony organizatorów i zebranej publiczności, która aplauzem dała dowód uznania naszego wysiłku (choć trzeba zaznaczyć, że odniesiono się do nas z początku z dużą rezerwą), było dla nas dostateczną nagrodą. Zebrana kwota w wysokości około 2.000 zł została przekazana na wspomniany cel. Blisko dwugodzinny program wypełniły recytacje i śpiewy, a także występy dzieci z naszej Szkoły Niedzielnej. Pełni radości z głoszonej tym sposobem Ewangelii i spełnienia dobrego czynu względem bliźnich, wracaliśmy do domów.

Każda praca wymaga wysiłku, lecz nagroda za nią przewyższa trud włożony w jej wykonanie. Dla nas nagrodą są już nowe zaproszenia do fabryk i szpitali.

Z KRONIKI ŻAŁOBNEJ

Ś. P. HENRYK SCHOTT, ur. 1 stycznia 1881 r., zmarł 6 stycznia 1947 r. Zmarły był syndykiem Zboru im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie, opiekunem biblioteki zborowej i kaplicy. Należał do Zboru od chwili jego powstania. Brat Schott był również działaczem robotniczym, narodowym i oświatowym na Śląsku Zaolziańskim i piastował godność prezesa Macierzy Szkolnej w jednym z kół tej organizacji. Na kilka lat przed ostatnią wojną, zmuszony do opuszczenia terytorium Czechosłowacji, przeprowadził się do Krakowa wraz z żoną i synem, który zaginął w czasie wojny. Sp. Brat Henryk Schott zmarł nagle na serce, po pierwszym nabożeństwie modlitewnym, w swym mieszkaniu przy kaplicy Zboru. Jego śmierć nie była poprzedzona ani dłuższą chorobą, ani cierpieniami. Z wezwaniem Ducha św. na ustach odszedł od nas, — drogi brat w Panu, aktywny członek Zboru. Gorący miłośnik Krakowa, znalazł mogiłę w ziemi krakowskiej, na miejskim cmentarzu w Rakowicach.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

KRONIKA OŚWIATOWA

KURS KORESPONDENCYJNY JĘZYKA MIĘDZYNARODOWEGO ESPERANTO

Związek Esperantystów w Polsce, Oddział w Warszawie, zorganizował korespondencyjny kurs języka Esperanto, opracowany na podstawie słynnego podręcznika „Petro", wydanego przed wojną przez Międzynarodowy Związek Robotniczy Esperantystów w Paryżu.

Wszystkim zainteresowanym wysyła bezpłatnie prospekt — za nadesłaniem znaczka pocztowego na odpowiedź — Sekretariat Kursu, Warszawa, XII — ul. Dworkowa 5 m. 22.

CENA ZESZYTU — 5 ZŁ

WYDAWCA: KOŚCIÓŁ METODYSTYCZNY w R.P. REDAKTOR: WITOLD BENEDYKTOWICZ

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. STRADOM 11/21

DRUKARNIA PAŃSTWOWA NR 1. KRAKÓW, WIELOPOLE 1. M—17221